



Artiom Wiesioły (prawdziwe nazwisko — Mikołaj Koczukow) urodził się w 1899 r. w Samarze, w rodzinie tragarza portowego. „Straszne dzieciństwo wśród bydłaków i bestii” — tak w liście do przyjaciela scharakteryzował swoje młode lata. Od 14 roku życia pracował w fabryce. Latem odkładał pieniądze, by móc zimą chodzić do szkoły. Udało mu się ukończyć tylko 4 klasy. Był aktywnym uczestnikiem rewolucji 1917 roku od pierwszych dni. Już w marcu tego roku jest członkiem partii bolszewików, współpracuje z prasą i walczy w drużynie bojowej. Był czerwonogwardzistą, marynarzem Floty Czarnomorskiej, czekistą. W 1921 r. publikuje pierwszy utwór literacki — dramat „My”. W 1924 r. — pierwszą powieść „Rzeki ogniste”, w 1926 następną — „Kraj ojczysty”. W 1930 r. duży rozgłos zyskała powieść historyczna „Hulaj-Wołga” o podboju Syberii przez Jermaka. Głównym dziełem jego życia jest jednak zaczęta w 1929 r. epopeja „Rosja we krwi skąpiana” o latach rewolucji i wojny domowej, o budzeniu się świadomości klasowej wśród chłopów i żołnierzy oraz o żywiołowym ruchu mas ludowych. Areszt i śmierć w 1939 r. nie pozwoliły mu dokończyć gigantycznej pracy. Wydawnictwo MON przygotowuje do druku przekład tej niezwyklej książki.

I. S.

Pobratymcy

ARTIOM WESIOŁY

Poznali się w Kronsztadzie, na placu Kotwicznym. Arsienij wygłaszał krótkie przemówienie do wielotysięcznego tłumu wzburzonych marynarzy, żołnierzy i robotników portowych. Marynarz francuskiej marynarki wojennej Charles Dumont, wyróżniający się spośród tłumu swoją czapczką z czerwonym pomponem na czubku, słuchał z przejęciem słów marynarza rosyjskiego. Jego młoda twarz ze smagłym rumieńcem była ożywiona, ocieniona długimi rękami oczy promieniały.

Zgodne okrzyki: „Słusznie! Słusznie!” i oklaski twardych dłoni zagłuszyły ostatnie słowa mówcy. Charles przecisnął się ku niemu i jał energicznie trząść jakby odlaną z żelaza łapę marynarza rosyjskiego.

— Bravo, bravo, camarade!

— Bonjour, mon vieux. Comment que ça va? — zapytał przyjaźnie Arsienij. Jako stary marynarz znał około stu wy-

Na wiosnę osiemnastego roku w obronie kontrrewolucji wystąpił korpus czechosłowacki. W miastach i wsiach ożywiły się kruki i wrony, na całym Powołżu rozpętały się nawałnice powstań. Obydwaj marynarze zaciągnęli się do przechodzącego przez wieś oddziału partyzanckiego.

W ciągłych bitwach cofali się z oddziałem do Wołgi, oddali Syzrań i zatrzymali się w Samarze.

Mgła zaranna okutała rzekę Samarkę. Wryte na peryferiach miasta okopy nabite były śpiącymi ludźmi: spali zmordowani ostatnimi walkami Łotyże, spali przybyli poprzedniego dnia Tatarzy z drużyny ufijskiej. W podwórzach i domach przylegających do linii frontu, powaleni śmiertelnym znużeniem spali po powrocie z przednich linii bojownicy drużyny komitetów samarskich. Uspokojeni złądną ciszą, spali

dworcem do mierzei przy zbiegu Wołgi i Samarki.

Wybuchła panika.

Z okopów wyskakowali i uciekali na łeb na szyję co tchórzliwsi, pociągając za sobą odważnych.

Po kilku minutach — i z rogu ulicy Fabrycznej, i Uralskiej, wzdłuż czworoboków ulic — Czesi zaczęli posuwać się w głąb miasta. Na pomoc pospieszili im hurtownicy, wylażąc jak robaki ze swoich ciemnych szpar, eserowscy smarkacze, czarna sotnia i oficerowie organizacji podziemnej.

Bronili się bojownicy, zaskoczeni w klubie komunistów, bronili się sztab ochrony; na ulicach walczyli pojedynczy bohaterowie, ale los miasta był już przesądzony. Obrzucony granatami, poddał się klub komunistów. Pozostających przy życiu obrońców rudobrody Maslennikow wyprowadził na ulicę pod białą flagą.

cze jakiś plot, jego podkute buty zadudniły po blaszanym dachu, urwała się pod nim rynna. Spadł gdzieś do ogrodu, prosto na krzak bzu, rozdrapując sobie ręce do krwi. Znowu przelazł przez jeszcze jeden parkan z nabitymi u góry gwoździemi, rozejrzał się i dał nura do drewnitni, gdzie wyczerpany szybkim biegiem i przeżytymi emocjami, padł na złożone tam polana.

To był koniec, dalej nie było dokąd uciekać... Nie miał już granatów, kolbę karabinu roztrzaskała mu kula, kolt i nagan zostały bez naboju, nie mogły się więc już na nic przydać. Marynarz kłął na czym świat stoi wszystkich świętych Pańskich aż do siedemdziesiątego siódmego pokolenia i zapalił papierosa... Lecz na próżno sądził, że oderwał się od prześladowców — szukano go, szukano wszędzie, w ogrodzie, w podwórkach i w różnych zakamarkach. Doleciały go szczekliwe głosy, brzęk ostróg, tupot nóg... Zadeptał niedopałek, schwycił polano brzozone i z sercem tłukącym się niemal w gardle stanął za futryną drzwi... Idą, przeszli... Ale jeden z nich — podarunek losu! — zajrzał do drewnitni i runął tuż za drzwiami, podzielony polanem po łbie.

Po kilku minutach Arsienij ubrany w długi aż do pięt płaszcz oficerski wyszedł na ulicę i wmiszał się w tłum.

Miasto święciło triumf.

Nad miastem przetaczał się uroczysty dźwięk dzwonów cerkiewnych, ulice pełne były odświętnie wyelegantowanych sklepikarzy, z balkonów sypały się na zwycięzców kwiaty i wznosiły

Rys. Jadwiga Lipowska



rażeń cudzoziemskich, całkiem wystarczająco, żeby się z każdym rozmówić.

Przechadzając się po wybrzeżu, omawiali najrozmaitsze tematy — rewolucję rosyjską i dzienną rację żywnościową, przeszłe oblicze świata i łodzie podwodne, ostatnie zamieszki w armii francuskiej i dziewczynki portowe. Znaleźli nawet wspólne przyjaciółki gdzieś w Algierze i Marsylii, co ich bardzo ubawiło.

Arsenij zaprowadził gościa na swój kłazownik, gdzie Charles zachwycał się wszystkim: i faktem, że wszystkich bestialskich oficerów stracono lub odkomenderowano na brzeg, i tym, że marynarze sami utrzymują na okręcie wzorowy porządek. Podobało mu się, że prości marynarze są za pan brat z pozostałymi oficerami, jedzą z tego samego kotła i palą ten sam tytoń. Charles Dumont nie chciał już wracać na swój okręt. Arsenij przyniósł mu z magazynu okrętowego komplet wyposażenia i podarował doskonały mauser. Zostali przyjaciółmi.

Widywano ich wszędzie razem — na wiecach, na zabawach, w teatrze i na odczytach, na burzliwych posiedzeniach Rady Kronsztadzkiej. Charles z zapałem uczył się języka kraju rewolucji.

W lipcowe dni maszerowali ramie przy ramieniu przez Prospekt Newski, słuchali Lenina na wiecu, ślubowali przed pałacykiem Krzesińskiej wierność rewolucji. Razem szturmowali Pałac Zimowy i razem w końcu siedemnastego roku wyruszyli na front w jednym z pierwszych oddziałów Gwardii Czerwonej. Przez całą zimę tłukli się w pociągu pancernym po Ukrainie i nad brzegami Donu, bijąc się z kontrrewolucyjnymi bandami różnej maści. Pod Rostowem pociąg pancerny wysadzono w powietrze, a Arsenij doznał ciężkiej kontuzji.

Przetrzebiony oddział marynarzy bałtyckich odwołano do Charkowa na reformowanie. Arsenij zabrał ze sobą przyjaciela i wyjechał na okres rekonwalescencji do swojej wioski, gdzieś pod Penzę, gdzie jeszcze żyli jego staruszkowie.

Miało się ku wiosnie.

Arsenij szybko powracał do zdrowia i zachodził już od czasu do czasu do Rady wiejskiej, gdzie zaprowadzał porządku, Charles zaś z zapałem doskonalił się w konwersacji rosyjskiej z dziewczynami wiejskimi i często powracał do domu nad ranem.

beztrosko w swoich norach żołnierzy czujek i czat.

Nagle tuż przy okopach rozległo się ostrożne posapywanie lokomotywy...

Zagrzebany w słomie spał Charles, lekko pochrapując. Oparty o jego nogi spał w pozycji siedzącej Arsenij, zasunawszy ręce w rękawy i obejmując karabin.

Jego świadomość zasnutą była pajęczyną jakichś przelotnych, pełnych niepokoju snów... Raptem serce zabiło mu przeczuciem: tuk-tuk... Arsenij przetarł pięścią oczy i wyjrzałszy z okopu zdębiał.

— Czesi! — krzyknął wyszarpując granat zza pasa. — Chłopcy, Czesi!

Po moście powoli pełził pociąg nieprzyjacielski — lokomotywa i kilka lor z ustawionymi na nich karabinami maszynowymi i dwoma armatami. Pod osłoną pociągu przez most biegly gęsto tyraliery Czechów.

W okopach wszczął się ruch.

Po chwili salwa rozdarła ciszę poranka czerwcowego.

Wieść o nieprzyjacielu iskrą przebiegła całą linię frontu od pozycji za



Fala terroru zwała się na miasto.

Wziętych do niewoli całymi grupami rozstrzeliwano na mierzei, przy moście pontonowym, na dworcu, na przedmieściu Zapanskim; topiono w Woldze i Samarcie, wylapywano po podwórzach i linczowano.

Marynarze — było ich około piętnastu — cofali się wzdłuż ulicy, odpowiadając strzałami. Jak woda, gdy natopka kamień, rozdziela się na dwie opływające go strugi, tak marynarze rozdzielili się doszedłszy do domu, z którego okien i dachu sypał się grad kul. Dwóch zostało na jezdni, pośrodku ulicy; kaemistę Asiutina zastrzelił w bramie jakiś smarkacz-gimnazjalista; jeszcze jeden padł, skłoniwszy głowę na progu cudzego domu; Charlesa złapali dozorczy domów, a pozostali rzucili się do ucieczki.

Arsenij wbiegł na podwórze — grupa ciekawych widowiska na wpół ubranych mieszczuchów rozstąpiła się przed marynarzem, który w trzech susach przesadził podwórko i zniknął w dziurze parkanu. Przebiegł jeszcze jedno podwórze, z rozmachu przeskoczył jesz-



się na ich cześć owacyjne okrzyki, grzmiały orkiestry wojskowe. Za czasów bolszewickich pomnik Aleksandra II stał oszalowany deskami. Teraz już czyjeś ręce zrywały te deski i ktoś uderzał tam czołem o granitowy piedestał „cara-wyzwolicieła“, podczas gdy na peryferiach surowo rozprawiano się ze zwycięzonymi.

Arsenij szedł jak pijany. Żądza odwetu zżerała mu serce.

Nagle doszły do niego krzyki wyrostków: „Prowadzą, prowadzą!“ Zatrzymał się. Otoczona konwojem ciągnęła ulicą partia jeńców, wśród których od razu poznał swego przyjaciela. Ucieszył się, omal nie krzyknął, lecz w porę się opanował, wciągnął głowę w ramiona, cofnął się na chodnik i ukrył za plecami stłoczonych tam ludzi. Charles cały we krwi kroczył ze spuszczoną głową. Arsenij bez namysłu poszedł za jeńcami.

Aresztowanych wprowadzono do budynku, na którego bramie ktoś napisał kredą: „Kancelaria komendanta miasta“.

Decyzja zapadła w mig.

Arsenij minął wartownika i wszedł za aresztowanymi do obszernej sali. Komendant miasta, z oplecionymi dwu-

kolorową wstążeczką szlifami pułkownika, siedział przy stole i golił się przed lustrem. Arsienij, miarowo wybijając krok, podszedł do stołu i zasalutował:

— Porucznik trzysta dziewiątego owruczewskiego pułku piechoty... Mam zaszczyt, panie pułkowniku, stawić się do pańskiej dyspozycji...

Pułkownik, nie przerywając swego zajęcia, spojrzął z ukosa na Arsienija, potem zaczął się uważnie przypatrywać stojącemu przed nim człowiekowi w płaszczu oficerskim, spod kołnierza którego wystawał rąbek bluzy marynarskiej.

— Pańskie dokumenty?

Arsienij podał przetarty na zgięciach wykaz stanu służby, z którego wynikało, że rzeczywiście jest porucznikiem trzysta dziewiątego owruczewskiego pułku piechoty, Andriejem Władimirowiczem Ozierowem, odznaczonym dwoma krzyżami georgijewskimi i zwolnionym ze służby na skutek demobilizacji.

Pułkownik wytarł chusteczką do nosa gładko oskrobaną twarz i podał rękę.

— Bardzo się cieszę. Proszę siadać.

Arsienij usiadł w fotelu.

— Czy służył pan w marynarce rosyjskiej, poruczniku? — zapytał niespodziewanie pułkownik, nie spuszczając zeń jasnych, chłodnych oczu.

— Nie, nie służyłem.

— Cóż to więc za maskarada? — nachylił się nad stołem i wyciągnął mu spod płaszcza kołnierz bluzy marynarskiej.

Arsienij włożył kołnierz z powrotem i spokojnie odpowiedział.

— Za bolszewików, panie pułkowniku, człowiek musiał rozmaicie się przebierać...

— Tak, tak — zgodził się pułkownik i wypowiedziawszy parę frazesów o bestialstwie plemienia teutońskiego, o krwiożerczości bolszewików i o jedności zadań stojących przed Słowianami, wyciągnął rękę: — Jutro, poruczniku, otrzyma pan w naszym sztabie skierowanie do formacji czynnej.

Arsienij zasalutował i skierował się do wyjścia, ale dostrzegłszy wciśniętych w kąt jeńców, zachwiał się i szybko odwrócił do pułkownika:

— Panie pułkowniku... tutaj... nikczemnik!...

— O co chodzi?

— Pańscy żołnierze zatrzymali lotra, który zamordował moją matkę i siostrę.

— Który to?

Arsienij podszedł do grupy więźniów i brutalnie wyszarpnął za ramię Charlesa.

— Oto ten!

— Może pan być spokojny, poruczniku. Wydam rozkaz, by go natychmiast rozstrzelano, tutaj w podwórzu.

— Ach, nie... Przysięgłem na grobie matki... Proszę mi pozwolić, bym mógł sam się z nim rozprawić. — To mówiąc, Arsienij wyrwał z kieszeni pusty kolt.

Pułkownik uprzejmie się zgodził.

Arsienij tak wyrzwał przyjaciela w mordę, że ten przeleciał przez całą salę i ciężarem swego ciała wybił drzwi na podwórze. Arsienij szybko wyskoczył za nim i częstując go szturchańcami, powlókł gdzieś w głąb podwórza.

Po upływie pół godziny siedzieli już obaj w gwarnym szynku na wybrzeżu, popijali herbatę i omawiali dalszy plan działania. Uciec z miasta nie było tak łatwo: na wszystkich drogach i przejściach wystawiono posterunki, wszędzie uwijały się patrole wojskowe, sprawdzające dokumenty wszystkich podejrzanych osób. W szynku zaznajomili się z palaczami ze stateczku holowniczego „Saturn”. Arsienij postawił wszystko na jedną kartę i powiedział palaczom całą prawdę.

Przyjaciele zanocowali w ładowni „Saturna”.

Tam też przesiedzieli trzy tygodnie, nie wystawiając nosa na świat.

Wreszcie kapitan „Saturna” otrzymał od dowództwa czeskiego rozkaz dostarczenia na front dwóch barek z amunicją.

Statek odbił od brzegu.

W nocy z pierwszego na drugi lipca pod Chwałyńskiem „Saturn” pod pełną parą przeszedł linię frontu i wywiesiwszy czerwoną banderę, dopłynął do radzieckiego brzegu, gdzie go przyjęto z honorami. Armia Czerwona potrzebowała statków, amunicji, a przede wszystkim — oddanych rewolucji ludzi.

Przełożył: IGNACY SZENFELD